



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Aleksander Miedziejewski

Wspomnienia z Dachau 1940-1945

W czasie kampanii wrześniowej w 1939 roku, byłem ochotnikiem w 36-tym pułku piechoty Legii Akademickiej (ul. 11-go Listopada w Warszawie). W nocy z 6 na 7 września zostałem ranny pod Garwolinem w lewą rękę podczas bombardowania. Po rozbiciu całego oddziału i prawie bez dowództwa, oraz ażeby nie dostać się do niewoli niemieckiej, podjęto decyzję powrotu do Warszawy, ażeby tam móc dalej bronić miasta.

Po aresztowaniu mnie w marcu 1940 roku na ulicy Targowej róg Wileńskiej w Warszawie za posiadanie i kolportaż tajnych gazetek przebywałem na Pawiaku w różnych celach i oddziałach, cela 63 tzw. pojedyńka o podłodze betonowej i w celach oddziałów 5 i 6 oraz na tzw. przejściówce, w której byłem przetrzymywany dzień i noc. Często przewożono mnie na Al. Szucha na przesłuchania, a przy tym bito i grożono rozstrzelaniem. Z Pawiaka wywieziono mnie transportem do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen pod Berlinem w nieogrzewanych wagonach towarowych.

Tam w obozie, jak tysiące innych Polaków, wtłoczony zostałem w pasiasty „heftlingowski” ubiór, otrzymując numer 28825, ażeby po przeżyciu 2-3 miesięcy w koszmarnych warunkach obozowych, gdzie komendantem oraz panem życia i śmierci był Gustaw Schubert (Żelazny Gustaw) jako strzęp nie ludzki, a tylko i na zawsze numer szczęśliwym trafem zostałem zakwalifikowany na transport inwalidów w dniu 1 września 1940 roku do obozu w Dachau. Tamże w dniu 3 września 1940 roku ponownie otrzymałem numer, gdyż z nim tylko mogłem żyć, a jako numer umrzeć, tak więc teraz mój numer był 17379, a trzeba wiedzieć że numerowi nie wolno było żyć dłużej niż trzy miesiące.

Cudem przeżyłem dwa tysiące koszmarnych dni i nocy, ale byłem zawsze tylko numerem, przysłowiowym „kretynem” żartem przez wszy, świerzb, tyfus i brud, bezpłatną siłą roboczą i bezbronną, a którą to w każdej chwili można było zabić, zamordować lub przeznaczyć do spalania w krematorium po zagazowaniu.

„Arbeit macht frei” – Praca czyni wolnym – takim cynicznym napisem na żelaznej bramie wejściowej przywitał nas obóz w Dachau, a było to 3 września 1940 roku. Lecz nie było tam wolności, zaś od tej chwili znaczyło to, że głód, ciężkie roboty, nieludzkie tortury i śmierć będą twoim nieodłącznym towarzyszem, a wolność możesz uzyskać jedynie poprzez piec krematoryjny, bowiem obóz w Dachau wyznaczał więźniom trzy miesiące życia od chwili przybycia. Taką to bowiem granicę wyznaczył Oberkat katów – Heinrich Himmler.

Po wielogodzinnym odstaniu na placu apelowym, gdyż był to jeden ze zwyczajów przyjmowania Zugangów (nowych), przy łaźni kazano nam się rozebrać do naga, otwarto jedną połowę drzwi do łaźni i esesmani dali rozkaz, że jak doliczą do trzech to wszyscy mamy być w środku, tak doliczono do trzech

i wtedy się działo, albowiem z liczby 400-tu było nas w środku może 50-ciu, a tych co pozostali na zewnątrz okrutnie bito i kopano, dopóki nie wtłoczono wszystkich do środka. Kąpiel była zimną wodą z gumowych węży, a z górnych pryszniców lano prawie ukrop, i tak na przemian. Po takiej kąpeli – znów przy akompaniamencie bicia i kopania – wypędzono nas przed łaźnię, gdzie po paru godzinach odstania zaprowadzono nas na blok 11 – na tak zwaną kwarantannę. Po miesiącu przeniesiono nas na blok 21, czyli blok inwalidzki, na którym przebywałem do połowy grudnia 1940 roku. W tym czasie chorowałem na zapalenie płuc; chorobę płuc noszę w sobie do dziś. Spało się pod jednym kocem, a okna nie wolno było zamknąć, gdyż takimi metodami byliśmy leczeni.

Pamiętam sienniki wiecznie zimne i przesiąknięte, ze startej słomy, brudne i postrzępione kocy, chrapliwy oddech moich współtowarzyszy przerywany jękami i kaszlem. Tam noc o tyle była odpoczynek, o ile można było spać snem zaszczonego zgonionego zwierzęcia. Lecz kiedy kończył się mój sen, noc stawała się pełną lęku katorgą. Ież to razy zbudzony przez któregoś ze wstających za swoją potrzebą kolegów nie mogłem później zasnąć, a każdy jęk wydawał się ostatnią żalną skargą obozowej sypialni. Więźniowie najczęściej umierali nocą pozostawieni tragicznej samotności. Na przełomie roku 1940 i 1941 temperatury dochodziły do 30-32 stopni poniżej zera. Na krótki czas z rozkazu komendanta obozu w ramach przywileju dla bloku inwalidzkiego pozwolono nie wychodzić na apele, ale to nie z litości nad nami, lecz z powodu zbyt długiego czasu, jaki zajmowało wychodzenie. Czasami można było poleżeć. Leżeliśmy tak w beznadziejności, wokół ropiejące i cuchnące rany po wrzodach. Proszę mi wierzyć, że widok był wstrząsający, ale nie wywoływał choćby odrobiny współczucia czy litości ze strony esesmańskich zbirów i oprawców.

Tak, ten rzekomo dany przywilej miał swą ciemną i okrutną stronę, która miała ogromne znaczenie dla naszej egzystencji, gdyż zaczęto nam wydawać połowę racji żywnościowych. Więc był to wyrok śmierci rozłożony na raty. Chorych poczęł bardziej dodatkowo nękać głód, a trzeba wiedzieć, że tam w obozie jedzenie było głównym tematem naszych myśli, rozmów i pragnień, kiedy leżeliśmy na pryczy.

Kiedy zachorowałem, pomoc dobrych kolegów w rewirze (izba chorych) i mój młody wiek pozwoliły mi pokonać chorobę i zostałem przeniesiony na blok 20 izba 4. Wielu kolegom to się nie udało i swój żywot skończyło w męczarniach na bloku 21, noszącym nazwę bloku śmierci.

Na bloku 20-tym, który w swej większości składał się z obywateli Czechosłowacji, przebywałem dwa miesiące, po czym zostałem przeniesiony na blok 18, izba nr 4. A będąc już na bloku roboczym na apel ranny i wieczorowy wychodziło się na plac apelowy, w kolejności blokami po 10-ciu w szeregu, z głośnym śpiewem (Laut singen!). Apel w obozie był sprawdzianem stanu więźniów (numerów). Po odliczeniu zmarłych w nocy na apelu rannym otrzymywano stan żywych więźniów, stan musiał się zgadzać co do jednego (numeru) tak samo i na apelu wieczornym. Więc żywi stali blokami, a zmarli z wycieńczenia i głodu, albo załamani psychicznie; inni popełniali samobójstwo wieszając się w umywalni lub idąc w nocy na druty kolczaste pod napięciem, bowiem śmierć zdawała się być dla nich jedynym wybawieniem. Niestety, ale oni również musieli być na apelu leżąc z tyłu, przyniesieni przez współtowarzyszy, bo „porządek musi być!” (Ordnung muss sein!).

Stanie na placu apelowym rano i wieczorem, a szczególnie na apelu wieczornym przeciągało się po odliczeniu i zdaniu raportu przez Rapportführera komendantowi obozu. My cały ten czas musieliśmy stać na baczność z gołymi głowami (Mützen ab!). Kiedy padał deszcz, a padał często i czasem lał się na nas strumieniami, wydawało się, że pada w nieskończoność, natomiast w zimę to mróz kasał i kładł ludzi na śnieg. Jeżeli esesman (Blockführer) nie widział, wtedy każdy usiłował rozgrzać się gwałtownym ruchem i wyrzuceniem przed siebie i do tyłu skostniałych rąk i nóg.

Szczególnie mróz o świcie był bardzo przejmujący, chwilami tak ostry, że zatykał, wyciskał łzy z oczu natychmiast marznące na policzku, a człowiek wtedy cały kostniał i ogarniała go senność, apatia i chwilami się modlił o prędko koniec męczarni na tym świecie. Ponad kilkunastotysięcznym tłumem więźniów odzianych w pasiaki unosiły się opary z oddechów, przykra woń chorych ciał i bez przerwy stłumiony kaszel cierpiących płuc. Czasem nasz kaszel podobny był świstu parowozu, niekiedy na ustach pokazała się krew. I tak ludzie stali w milczeniu posępni, owrzodzili na ciele, jakby wyrzuceni przez inną ludzkość na olbrzymie gnojowisko. Tylko obok nas przechadzali się esesmani w ciężkich podkutych butach co i raz wpadając w szereg i bijąc upatrzoną przez siebie ofiarę po twarzy i kopiąc po nogach.

Pamiętam doskonale, tak jakby to było dziś, a było to na początku grudnia 1941 roku. Był to czas pierwszego mojego bardzo długiego stania na apelu, gdyż na rewirze zapodział się gdzieś więzień (numer). Trzymano nas wtedy na placu apelowym od godziny 7-ej do 19-ej, z wież strażniczych wycelowano w nas karabiny maszynowe i oślepiające reflektory. W pewnej chwili widzimy, jak dwóch pielęgniarzy z rewiru wlecze jakiegoś więźnia, a trzymają go w ten sposób, że brzuchem orze po śniegu, koszula i spodnie obsunęły mu się z ciała i widać wypięty brzuch obciążony żółtawą skórą upstrzoną krwawymi wrzodami i same żebra. Z wieści obozowych dowiedziałem się, po tygodniu już nie żył.

W czasie mojego uwięzienia w Sachsenhausen i Dachau było kilka udanych ucieczek więźnia z obozu koncentracyjnego, przeważnie owe próby kończyły się tragicznie dla uciekiniera, gdyż w poś-

cigu za uciekinierem brali udział esesmani ze sforą specjalnie do tego wytresowanych psów. Wokół rozciągało się terytorium niemieckie – nieprzyjazne i niedostępne. W czasie ucieczki musieliśmy stać na placu apelowym tak długo, aż uciekinier został schwytany; i w tym to czasie właśnie następowało to najgorsze, bowiem wtedy esesmani byli wściekli i na całego szaleli, pod pretekstem rzekomo zorganizowanej ucieczki nie szczędząc nikogo, a wynikiem takiej wściekłej akcji były kalectwa i śmierć.

Uciekinier – żywy czy martwy – bezwzględnie musiał wrócić do obozu, gdyż tylko tu było jego miejsce. Stan ilościowy numerów musiał się zgadzać. Ordnung muss sein! Porządek być musi! W tej powodzi szykan esesmanów, kapo, blokowych i izbowych staliśmy na placu apelowym i czekaliśmy na nieszczęśnika, a gdy mu szczęście dopisało, to z danego bloku lub komanda pracy, z którego pochodził wybierano co dziesiątego na śmierć. Ja raz byłem odliczonym jako dziewiąty na komandzie Plantage. To co wtedy przeżyłem tkwi we mnie do dziś. Kiedy słyszę głośnie odliczanie zaczynam drżeć ze strachu, chociaż minęło tyle lat.... A oprawcy dalej polowali, aż do skutku. Ucieczek próbowano podczas pracy, gdyż to rzekomo miało dawać większą szansę powodzenia. Więźniowie w tej stójce nie wytrzymywali, padali w szeregach, a reszta szykanowana i bita czekała dalej na wyrok ślepego losu.

Wreszcie po wrzasku, jaki pochodził od powracających esesmanów i wściekłym ujadaniu psów, zorientowaliśmy się, że polowanie skończone niepomysłnie dla uciekiniera, a dobre dla co dziesiątego. Uciekinier wracał w asyście wesolej bandy łowców, zbrodniarzy SS z trupimi czaszkami na czapkach. Wracał przez widoczną główną żelazną bramę Jourhaus z napisem „Arbeit macht frei” szedł w asyście całej świty obozowej z wielkim bębnum na piersiach, w który musiał stale bić i mając na plecach wypisany na czarno napis. „Ich bin wieder da!”, „Ja znów jestem tu!”. Bywało, że uciekinier był niesiony na tragach, gdyż był skatowany i pogryziony przez psy. Przeklęte niech będą te słowa, albowiem z ich to treści wynikało, że tutaj (i tylko tutaj) masz prawo żyć w upodleniu i umierać, a drogą do wolności dla ciebie jest jedynie wąski komin krematorium. Bardzo trudno opisać, co wtedy czuli więźniowie. Tu w Dachau, podobnie jak i w innych obozach masowej zagłady, lekarze w mundurach SS i cywile, przeprowadzali na więźniach pseudomedyczne doświadczenia (kończące się niechybną śmiercią) zarażając tyfusem, malarią, ropowicą, zarazkami gruźlicy, wykonując doświadczenia lotnicze (wybieganie ciał do granic wytrzymałości) i w komorach ciśnień.

Każdy obóz koncentracyjny miał swoistą specjalność, w Dachau malaria i flegmona, gdzie był szefem i kierował eksperymentami prof. dr Claus Schilling z Berlina. Aresztowany po wyzwoleniu obozu i postawiony przed amerykańskim sądem wojskowym mówił w ostatnim słowie: „Gdybym miał jeszcze raz rozpocząć swoje doświadczenia (morderstwa – przyp. A.M.), to bez najmniejszego wahania podjąłbym się ponownie tego”. W maju 1946 roku wyrokiem sądu w Dachau został skazany na śmierć i stracony, gdyż został uznany za zbrodniarza wojennego.

Jestem jednym z nielicznych ocalałych tzw. królików doświadczalnych na malarię. Jednak większość z nas zmarła w mękach.

A my, niby to wielcy szczęśliwcy, wybrani przez los i szczęście, pozostaliśmy kalekami, bowiem każdy z nas, kto przeżył obóz koncentracyjny, jest napiętnowany „chorobą obozową”, która przybrała różnorakie przypadłości, a dla swoich najbliższych jesteśmy wiecznym zmartwieniem i tak już pozostanie do końca naszego życia.

Obóz koncentracyjny w Dachau posiada swoją żalobną sławę na całym świecie. Tam zamęczono i zamordowano tysiące ludzi za pomocą głodu, ciężkiej katorżniczej pracy, bestialskim biciem, gazowaniem, a następnie spalono w piecach krematoryjnych. Na początku 1942 roku pracując w komandzie „grabarze” zaprzężony jak koń do wozu wespół z innymi więźniami wywoziłem z obozu zwłoki, przeważnie z rewiru (izba chorych) do krematorium na spalanie.

Ludziom, którym pojęcie o obozie koncentracyjnym jest obce, bardzo trudno będzie uwierzyć, że w krematorium był taki esesman Oberscharführer o nazwisku Niedermeier, który kazał nie raz spalać skazańców żywcem, przypatrując się temu przez okienko i tym widokiem napawał swój sadystyczny wzrok i sycił się nienawiścią do więźniów.

Gdy wkroczyli Amerykanie na teren obozu dnia 29 kwietnia 1945 roku o godz. 17:15, zastali setki trupów, które zalegały wokół krematorium niczym szczapy drewna.

Na przełomie września 1942 roku na jednym z apeli, zostałem wybrany na transport do obozu Dora u podnóża gór Harzu. Ryzykując życiem podjąłem natychmiastową decyzję, a może się uda uciec z tej kolumny, i skryłem się na poddaszu swego bloku, gdzie przebywałem do wieczornego apelu, gdyż do tego czasu wszyscy wyznaczeni więźniowie na ten transport zostali oddzieleni w celu spisania ich numerów i bloków z izbą. W taki to cudowny sposób najprawdopodobniej uniknąłem śmierci, bowiem kilku moich kolegów z tego transportu tam zginęło. A ja w niedługim czasie zostałem przydzielony do komanda „Plantage”.

I od tej chwili moim komandem, czyli miejscem pracy, aż do wyzwolenia był Freiland eins, czyli Pole Pierwsze. Kapem był Heinrich Rasch, osobnik narodowości austriackiej, bezwzględny sadysta. Lecz dużym szczęściem dla nas był fakt, że pomocnikiem był Kazimierz Węglarz z Miejskiej Górki, autentyczny ogrodnik, prawdziwy Polak, któremu nie jeden z nas zawdzięcza ochronę przed transpor-

tem i swe życie, jak np. Stanisław Wojciechowski, Edward Gniadek, Zygmunt Rychter, Jerzy Kopeć, Marian Kubicki, Roman Czerwiński, Edward Lewandowski, ja – Aleksander Miedziejewski, oraz i księża polscy, Staniszewski, Branny, Rabszyn, brat zakonny Franciszek Korzonek, Feliks Jedwabski (po wyzwoleniu biskup), Adam Kozłowiecki (obecnie kardynał) i wielu, wielu innych.

Było to komando bardzo ciężkie i nierzadko po polu przechadzała się śmierć, a więc kto mógł to za wszelką cenę unikał tego komanda, lub z narażeniem życia zeń uciekał. Praca była ponad siły ludzkie po 10 godzin i dość często w niedzielę. Nie wolno było nam opuszczać pracy pod żadnym pozorem, mimo deszczów, zimnych wiatrów. Więźniowie zapadali na różne choroby, a wokół było tylko słychać: „schnell – aufgehts!”, czyli „prędko – biegiem!”, tak by zwiększyć wydajność niewolniczej pracy w XX-tym wieku.

W Dachau w 1943 roku nastąpiła pewna zmiana na lepsze, trochę ustały bicia, pozwolono na przysyłanie dwóch kilogramowych paczek i można było grać w piłkę nożną. Do czołowych drużyn należała 16-tka – zwana tak od numerem bloku, w której grali: Kraska, Kowalewski, Pilarski, Masłowski, Łata, Żyła, Łoś, brat zakonny Oblat Antoni Matura i inni.

Latem tegoż roku władze obozowe zezwoliły na teatralne przedstawienie. Nastąpił przepiękny pogodny niedzielny dzień 29 sierpnia 1943 roku, który dla wszystkich Polaków przebywających w Dachau stał się na zawsze dniem niezapomnianym w całym naszym życiu obozowym.

Polskie Widowisko! Pod znamienym tytułem „Pieśń Żniwiarzy” napisane przez Franciszka Okroja. Występ był wielkim sukcesem polskiego zespołu, lecz okupiony jakże ciężką i mozolną pracą i gorączką przygotowań. Jako ostatni, niezapomniany akord tak cudnego, wspaniałego wzruszającego do łez występu Orkiestra gra Warszawiankę, nazwaną tu, w gardzieli krwiożerczej bestii, pieśnią żniwiarzy. Ze zrozumiałych względów podłożono inny tekst, zmieniono słowa, lecz nowe były dla nas Polaków jakże wielkim pokrzepieniem dla ducha i myśli, tęsknotą za bliskimi i nieodpartą nadzieją na powrót do kraju, do wolnej i niepodległej Polski.

Pieśń Żniwiarzy – Warszawianka.

*„W górę czoła, mili bracia,
bo już dojrzał trudów naszych plon!
Wijmy wieńce barwne z kwiecia,
a uderzmy w pieśni naszej dzwon!
Niech opiewa cud naszej ziemi,
faliste łany złotych zbóż!
Walczy Wawel, naród wieczny,
śnieżne Tatry, szmaragd naszych mórz!
Więc niech duch nasz będzie mocny,
Gdy na żniwa zagrzmie róg!
Oby trud nasz był owocny,
Niech pomoże nam miły Bóg !*

W pierwszych rzędach siedzieli esesmani: na czele komendant obozu Martin Weiss, Rapportführerzy Franz Trenkle i Franz Bottder, oraz Blockführerzy. Przeszło pięć tysięcy widzów (Heftlingów) przeżywało niezapomniane chwile. My Polacy ogromnie się radowaliśmy płacząc i całując się na przemian. Działo się z nami coś niezwykłego, coś, czego nie da się określić i wyrazić żadnymi słowami. Więźniowie innych narodowości byli zachwyceni, oczarowani tańcami i pomysłowością barw strojów, i gdyby tego nie widzieli naocznie, a tylko usłyszeli z relacji innych, nigdy nie daliby wiary, że coś tak wielce wspaniałego można było stworzyć w warunkach obozowych, dodając przy tym żartobliwie, że wiadomo kto jest najlepszym organizatorem w życiu codziennym obozu: więźniowie polscy, a więc dzięki temu tak cudnie wypadło owe widowisko.

Dla nas Polaków był to ogromny zaszczyt, a zarazem cicha i przemyślana zemsta, za te wszystkie nasze poniżenia, lekceważenia, szykany, oraz gnębienia i głód. Wszystkich ogarniała myśl, że nasza ukochana Ojczyzna mając takich synów, nigdy nie zginęła i nie zginie.

Głównym pomysłodawcą i organizatorem polskiego występu w Dachau był Walter Hnaupek pisarz bloku 16-go. Orkiestrę zestawiał Mieczysław Kulawik, chórem dyrygował Teodor Gruca, a dekoracje widowiskowe projektował i malował Stanisław Wilczyński z pomocą uzdolnionych kolegów.

Krakowiankę grał Jerzy Wiśniewski niosący duży czerwony trójkąt z literą „P” dumny symbol naszej polskości w obozie. Swoim wyglądem, postawą i robieniem oczka wprowadził esesmanów w zakłopotanie i zachwyt, bowiem nie byli zbyt pewni, czy czasami nie jest to prawdziwa dziewczyna i podchodząc do niego szczykali i macali przy tym poważnie mówiąc, że Polacy to są zdolni do wszystkiego, więc też mogli się postarać zorganizować prawdziwą polską dziewczynę, przy tym było sporo śmiechu.

Widownia była chłonna, radosna i jakże szczęśliwa, kto tylko mógł zjawiał się, chorzy prosili zdrowszych kolegów, aby pomogli im dostać się na widownię; może już w swym życiu nie zobaczą polskiego teatru, a po obejrzeniu lżej im będzie umierać. Mówili, że przedstawienie było dla nich

bardziej krzepiące niż pajda chleba. Każdy zdawał sobie doskonale sprawę ze stanu naszego zdrowia, a do naszej wolności była jeszcze daleka i ciężka droga, więc nikt im nie odmawiał tej koleżeńskiej przysługi. Po tak pokrzepiającym moralnie i duchowo widowisku, mnie też było lżej i dodało otuchy i siły, i wówczas podjąłem postanowienie, że muszę wytrwać! Choć przecież nie znaleźmy chwili, w której odzyskamy wolność.

Choć zakazano bicia, jednak nas dalej dręczono, selekcjami na blokach i rewirze do transportów, na różne komanda i do innych obozów, egzekucjami, wieszaniem na słupku, a szczególnie specjalnie przedłużającymi się wieczornymi apelami w dni deszczowe i mroźne.

Pod koniec marca i na początku kwietnia zaczęły napływać różne wiadomości o ewakuacjach i niszczeniu obozów. Został wydany rozkaz przez zaufanego Adolfa Hitlera, Heinricha Himmlera, że żaden więzień żywy nie może się dostać w ręce oswobodzicieli, toteż wieść, że obóz ma być spalony, a więźniowie będą rozstrzelani, pobudziła paniczne nastroje i obawy o nasze dalsze losy.

A nasza, tak bardzo upragniona, wolność nie przychodziła do nas ani prędko, ani łatwo.

I oto nagle w przepiękne niedzielne popołudnie dnia 29 kwietnia 1945 roku o godzinie 17:15 ktoś krzyknął „Amerykanie!”. Pierwsi żołnierze wpadli na plac apelowy przez główną bramę, która od tej chwili stała się prawdziwą bramą wiodącą do naszej wolności.

Ów dzień, tak przez nas upragniony, wytęskniony, nie raz wyśniony w głodzie, w chorobie, z wszami i wrzodami, chodzący szkielet, lecz tym razem prawdziwy i rzeczywisty nastąpił dzień naszej wolności! Jednak nie wszystkim było dane doczekać tego najpiękniejszego dnia w swoim życiu.

Pragnę nadmienić, iż w tym dniu cały obóz miał się udać – jak zwykle o godzinie 21-szej – na spoczynek. W nocy miała go otoczyć dywizja „SS – Wiking” i zlikwidować karabinami maszynowymi i miotaczami ognia, tak jak zrobiono w Buchenwaldzie..

Tu w Dachau przeszło trzydzieści tysięcy ludzi szalało z radości. Krzyczeli, tłoczyli się przy bramie, wyciągali swe chude dłonie do swych wybawców, kto żyw i na tyle silny szedł na ulicę obozową, na plac ku wolności. A oni spoceni, dyszący z utrudzenia, szarzy od pyłu, patrzyli spokojnie i litościwie kiwając głowami spod hełmów. Czasami uśmiechali się nieznacznie i ich oczy gorzały nietajoną radością i wielką dumą

Nieliczna załoga z wież strażniczych po poddaniu się została rozstrzelana przez żołnierzy amerykańskich. A kiedy kilku naszym udało się przedostać do oficera i podziękować za ocalenie, uśmiechnął się i rzekł: – Nie mnie dziękujcie, lecz dziękujcie Bogu za ocalenie! Ten dzień na całe moje życie pozostanie w mej pamięci i choć wtedy ważyłem niecałe 40 kilogramów, to za ich przyczyną mogę ponownie żyć i radować się słońcem. Uroczystości trzeciomajowe stały się naszą polską olbrzymią manifestacją na terenie byłej katowni. Wspólnymi siłami, choć nie było ich wiele, wznieśliśmy duży krzyż, a przy nim pięknie ustrojony ołtarz. Tak trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś w miejscu, w którym pomordowano tysiące niewinnych ludzi, którzy ukochali swój kraj, zostanie odprawiona Msza Święta. Odprawiono ją za nas, za Polskę, oraz wszystkich, którzy pomarli i cierpieli. Uczestniczyły w niej tysiące Polaków słabych, wycieńczonych i tak chorych, że jednego przytrzymywało dwóch kolegów. Każdy chciał być na pierwszej od wielu lat prawdziwej wolnej Mszy i przyjąć komunię w podzięce Panu Bogu za odzyskaną wolność i życie.

Na tę uroczystość przybył sam dowódca 7. Armii Amerykańskiej Generał Adams. Mszę odprawił ks. Stanisław Werenik. Odśpiewano „Rotę „ i „, Boże coś Polskę „. Tym uroczystym akcentem zakończono dzień chwały, która głosiła całemu światu, że jesteśmy wolni.

Nazajutrz w dniu 4 maja 1945 roku odbyły się wspólne modły, z udziałem księży polskich, niemieckich, francuskich, włoskich, czeskich i popów wiary prawosławnej, za wszystkich pomordowanych braci więźniów w Dachau.

Dnia 8 maja w godzinach wieczornych odbyło się dziękczynne „Te deum” z okazji zakończenia drugiej wojny światowej w Europie i zwrócenia wolności umęczonej ludzkości.

Wspomnijmy i oddajmy cześć: matkom, żonom, siostrom, narzeczonym i dzieciom ze wszystkich stron świata oraz wszystkich narodów, które tam w Dachau straciły kogoś ze swoich bliskich. My wszyscy pamiętajmy, że ci co tam zginęli żebyśmy mogli żyć wśród swoich w pokoju. Tam w Dachau często mówiliśmy o przetrwaniu i o tym, że kto przeżyje koniecznie i obowiązkowo w imię wszystkich pomordowanych, a ku przestrodze potomnym winien mówić i pisać.

Ludzkość powinna znać tę straszną przeszłość, żeby to już nigdy się nie powtórzyło. Nie wolno nam żądać zemsty, ale też nie wolno o tym zapomnieć, a szczególnie tym, którzy przez to przeszli. Czas może zabliznić rany naszego ciała, ale nie potrafi zatrzeć wewnętrznych i psychicznych doznań mimo upływu już tylu lat i to się już chyba nigdy nie zmieni.

Świadomi zadanych ran i zniszczeń, jakich dokonał okupant w naszej Ojczyźnie, wraz z innymi kolegami powróciliśmy do kraju do swoich najbliższych. Powitały nas zgłiszcza i ruiny. Z dużym wzruszeniem wspominam dziś tamte dni odgruzowywania mojej ukochanej Warszawy, pięknej i pamiętanej z lat młodości. Nikt nie pytał za ile, co będzie miał z tego, pracowali starzy i młodzi nawet

dzieci. I tak z miesiąca na miesiąc wyrastały nowe zakłady pracy, sklepy, mieszkania, pierwsze ruszyły tramwaje, kina i kawiarnie, Moja Warszawa zaczynała żyć.

Dziś będąc już na emeryturze czuję się usatysfakcjonowany tym, co zrobiłem w minionych 35 latach pracy zawodowej i społecznej, gdyż z pracy czerpałem sens i radość życia. Raduję się dziećmi i wnukami. Minęło 50 lat i każda rocznica mojego wyzwolenia napawa mnie głęboką refleksją i zadumą.

W czerwcu 1968 roku, po 23-ch latach, po raz pierwszy odwiedziłem dawne miejsce hańby ludzkiej i mordu tysięcy ludzi, były obóz w Dachau. Odwiedziny owe przeżyłem w sposób możliwie opanowany i w miarę spokojny, jednak nie mogłem powstrzymać wzruszenia i łez..

Kiedy robiono dookoła zdjęcia, powiedziałem sam do siebie; a pamięci żywych! „Ich bin wieder da!” Wróciłem tu znowu!

Tak, byłem znowu tutaj i chodząc po tej umęczonej i skrwawionej ziemi, nie w drewnianych butach, nie w pasiakach, bez asysty esesmanów i psów gotowych cię zagryźć, i bez wielkiego bębna, lecz zupełnie inaczej – jako człowiek wolny, Polak żywy, najedzony, bez wszy, nie bity i bez numeru i litery „P”, a więc bez obawy przekraczający piekielną żelazną bramę i chodzący po całym obozie, kiedy i gdzie chciałem, to mi było przypomnieniem tamtych minionych dni i lat okropnych, ale i zarazem wspaniałe przeżycie, uwierzcie mi umarli i żywi koledzy byli więźniowie z obozu w Dachau. Żał tylko przeogromny, że nie wszyscy współwięźniowie mogli doczekać tego tak niepowtarzalnego uczucia, jakiego ja doznałem.

Na terenie krematorium u stóp pomnika więźnia, na wieczną pamięć drodzy koledzy swą modlitwą i złożeniem kwiatów, Waszą uczciłem gehennę życia i śmierć.

*Ta śmierć w dzień i noc zawsze była z nami,
Spowszedniała już nam w rytmie niezmiennym,
Gdy skradała się po cichu między blokami,
A wyczekując na łup swój codzienny.
Odpoczynku to nasza śmierć nie знаła
I przestała dla nas być czymś tajemniczym.
Przed oczami każdemu z nas stawała
Z bezlitosnym, kamiennym obliczem.
Romantyzmu to w naszej śmierci nie było,
Ani krzyków, narzekań boleści ni płaczu.
Czasem tylko – gdy sił już zabrakło,
To serce czyjeś pękło mu z rozpaczny.*

Cierpieliśmy bardzo długo i straszliwie, ale nie tak, abyśmy na zbrodnię, której na nas dokonano, mieli odpowiadać zbrodnią. To nie mieści się w naszym polskim duchu, sercach i wierze.

* * *

Na zakończenie moich wspomnień muszę opisać jeszcze jedno obozowe przeżycie. Wśród mąk nie do opisanego, jakie przeżywali długoletni polscy więźniowie obozu koncentracyjnego w Dachau, grupa księży polskich z bloków 28 i 30 z inicjatywy wielce przedsiębiorczego ks. Mieczysława Januszczyka postanowiła dać nam więźniom na podtrzymanie wiary i mocy duchową pociechę, oraz moralne zadośćuczynienie. Otrzymaliśmy tę Szopkę w pieśni polskiej, we wspomnieniach o rodzinnym kraju i z dala od swoich najbliższych w okresie Świąt Bożego Narodzenia 1944 roku.

Z uwagi na fakt, że „Szopkę” organizowali księża polscy, a wiadomo jaki był stosunek szczególnie SS do księży polskich, wobec tego uzasadniona była obawa, że na pewno władze obozowe nie wyrażą swej zgody na jej wystawienie. Tak, trzeba wiedzieć że ryzykowano jej potajemne wystawienie i to tylko 7 razy na przemian w blokach 28 i 30. Przedstawienie ilustrowane było obrazami kpt. Stanisława Wilczyńskiego, a kukielki do tego widowiska wykonał w drzewie ks. Henryk Malak, na skrzypcach akompaniował Mieczysław Kulawik.

Ja byłem uczestnikiem wystawionej „Szopki” w drugi dzień Bożego Narodzenia 1944 roku. Pracowałem wówczas w komandzie „Plantage”, gdzie również pracowało wielu księży polskich, jak: Branny, Feliks Jedwabski, ks. prefekt Kowalczyk z Łodzi, ks. proboszcz Szota, ks. wikariusz Bienias, ks. Staniszewski i wielu innych. I w związku z tym zostałem powiadomiony, że jeśli chcę, to mogę przyjechać, z czego bardzo chętnie skorzystałem. Spośród autorów i wykonawców do kraju powrócili: Stanisław Wilczyński, ks. Aleksander Szymkiewicz. Inni są na emigracji, w Anglii, Francji, Niemczech, USA, Brazylii.